

# Przemyśl

NUMER 15  
T O M I  
R O K 21



W A R S Z A W A  
8 GRUDNIA 1936 ROKU  
TYGODNIK DLA  
DZIECI I MŁODZIEŻY





# Wierna Przyjaźń

To nie księstwo, nie królestwo złudy,  
to nie baśnie, a prawdziwy świat —  
wyrastają z karłów wielkoludy  
i rozkwita paprociowy kwiat.

Czarne księstwo na białym papierze,  
nie sztandary — barwne płachty stron  
i litery jak w szeregach rycerze,  
i przecinki jak ostra broń.

Czarnoksięstwo — magia prawdziwa,  
co stronica — to nowy cud,  
a co rozdział — to nowe dziwa.  
Każda książka kraj nowy zdobywa,  
każde słowo prowadzi w przód.

Dobra książka — twój wierny pomocnik  
pójdzie z tobą pod prąd i pod wiatr.  
W blasku słońca i w mroku nocnym  
nie dla leniów,  
dla mądrych i mocnych  
jest prawdziwy i baśniowy świat.

E. Szymański

Nie zapomnisz tego, coś zdobył,  
nie żałujesz „przeczytanych” dni,  
coraz piękniej w sercu się robi,  
coraz jaśniej świat oczom łni.

Wszystko jedno, czy w dawne wieki,  
czy do przyszłych wybiegasz lat.  
W świecie bliskim i w świecie dalekim  
zwycięstwo idzie w twój ślad.

Czy przez lądy idziesz, czy przez morza,  
nie stracony wędrowania czas.  
Jednakowo ogromne przestworza  
zdobywcom kłaniają się w pas.

## HISTORIA KSIĄŻKI

Znacie zapewne wszyscy nowe książki wydane z ładnymi, często nawet kolorowymi obrazkami, ale czy pomyśleliście kiedy, jak wyglądała pierwsza książka? Opowiadają, że kiedyś jeden z bibliotekarzy poszukiwał przez całe życie pierwszej książki, lecz jej nie znalazł. Pierwsza książka nie była podobna do książek obecnych. Powstała ona przed kilku tysiącami lat w starożytnym Egipcie, gdzie rosną pewne rośliny nad rzeką Nilem. Rośliny te, bardzo wysokie, niemal wzrostu ludzkiego, nazywają się papirusami. Egipcjanie robili papier sklejjąc wysuszone liście tych dziwnych roślin. Na papirusach spisywano pierwsze książki rękopiśmienne skręcając je następnie dokoła wałka, tak jak teraz skręcamy mapy

geograficzne. Starożytni Asyryjczycy i Babilończycy używali do pisania specjalnej glinki, z której robili tabliczki i na nich ostrą pałeczką złobili znaki, noszące nazwę pisma babilońskiego.

Po wypaleniu w ogniu tabliczka taka była bardzo trwała. Przed kilkudziesięciu laty uczonego angielskiego — archeologa Learda w czasie poszukiwań w pobliżu dawnej stolicy Niniwy znalazł całą bibliotekę króla asyryjskiego Aszurbani-pala, złożoną z tabliczek glinianych, które doskonale się zachowały po kilku tysiącach lat. Cała ta biblioteka z 30 tysięcy ponumerowanych tabliczek była zaopatrzona w napis świadczący o przynależności do księgozbioru królewskiego.

W starożytnych Indiach używano



do pisania liści palmowych, które następnie wycinano i zszywano niciami, zaś brzegi złociono lub ładnie farbowano. W ogóle dawniej do pisania książek używano wszystkiego, co można było znaleźć w pobliżu i co byłoby trwałe, książka zaś dawniej była drogą. Stopniowo starano się zastąpić drogi i łamliwy papirus skórą, na której po odpowiedniej przeróbce spisywano książki w średniowieczu. Pisaniem książek zajmowali się wykształceni mnisi w klasztorach, którzy często ozdabiali strony złotymi rysunkami i winiętami. Książki te były również drogie, gdyż przepisywanie kosztowało kilka lat mozolnej pracy. W obawie przed złodziejami przymocowywano je żelaznymi łańcuchami do stołów lub szaf. Drogie rękopisy były bogato zdobione miniaturami, oprawiane w pięknie wytłaczaną skórę ze złotem i srebrem i nasadzone drogimi kamieniami. Taki rękopis nabywano nieraz za winicę lub folwark.

W Polsce pierwsze książki rękopiśmienne istniały w średniowieczu na dworze królewskim oraz na dworach książęcych. W słynnym przywileju króla Kazimierza Wielkiego z 1364 roku, nadanym Uniwersytetowi Krakowskiemu, jest wzmianka dotycząca handlu książkami. Księgarzowi nie wolno było zarabiać więcej niż  $\frac{1}{20}$  wartości rękopisu.

Duże zmiany wywołało zastosowanie papieru, który aczkolwiek znany był już dawno w Chinach, dopiero w XIII wieku został przeniesiony do Europy. W roku 1438 w niewielkim niemieckim miasteczku Moguncji Jan Gutenberg dokonał wielkiego odkrycia, które wywarło olbrzymi wpływ na dzieje całego świata. Gutenberg pierwszy do-



PISMO EGIPSKIE

myślił się, że można zamiast pisania książek, co trwa bardzo długo, wyciąć z drzewa poszczególne litery i wyrazy i w ten sposób odbić większą liczbę książek.

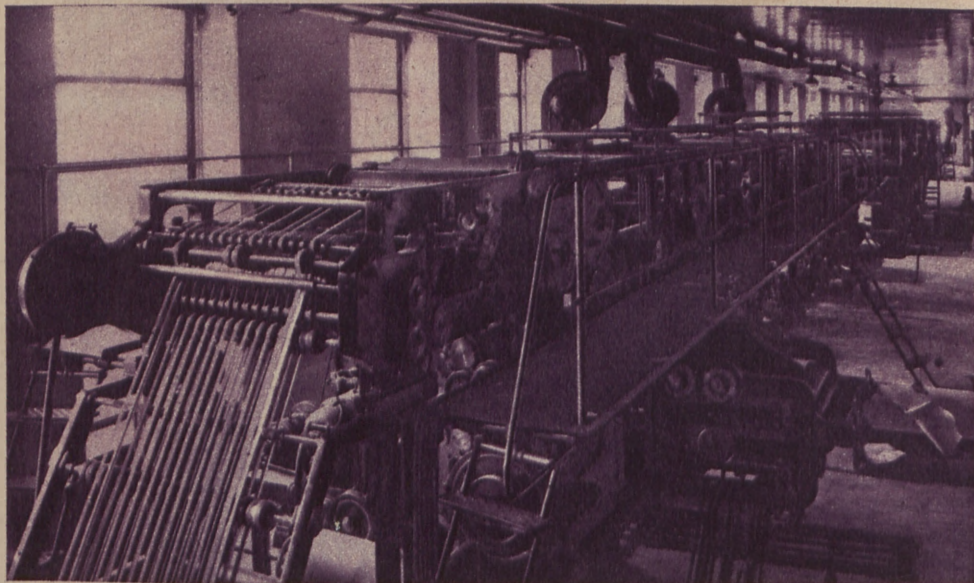
Może nawet sam Gutenberg ani współcześni nie, rozumieli doniosłości wynalazku wskutek zastosowania niewielkiej czcionki stałej. Zresztą zarówno Gutenberg jak i jego współpracownicy starali się, sporządzając pierwsze druki, upodobnić je do dawnych rękopisów, do których ludzie już byli przyzwyczajeni. Najstarszym zachowanym zabytkiem drukarstwa jest kalendarz astronomiczny na 1448 rok, wykonany przez Gutenberga w Moguncji. Sam Gutenberg nie wzbogacił się na swym wynalazku, był ubogi i musiał szukać współników, którzy go okradali. W ciągu całego swego życia był zawsze prawie w nędzy i zmarł niedoceniony przez współczesnych w roku 1468.

Dopiero po jego śmierci drukarstwo zaczęło się szybko rozwijać najpierw w Niemczech i we Włoszech, a potem po całym świecie roznosząc sławę Gutenberga.

Uczniowie i następcy Gutenberga co-







NOWOCZESNA MASZYNA DRUKARSKA

raz bardziej udoskonalali jego wynalazek. W końcu w. XVI najładniejsze książki drukowano w Holandii; odznaczały się one starannym i artystycznym drukiem; m. in. tam też zaczęto drukować pierwsze atlasy i mapy geograficzne.

Drukarstwo do Polski przyszło z Niemiec, pierwsza zaś drukarnia powstała w Krakowie, gdzie w roku 1473 był wykonany druk Almanacha, czyli kalendarza na rok następny. Dopiero na początku wieku XVI zaczęto drukować pierwsze druki w języku polskim, poprzednio drukowane wyłącznie w języku łacińskim.

Jednym z najdawniejszych druków polskich była pierwsza Ortografia Polska Ks. Stanisława Zaborowskiego, która ukazała się w Krakowie w roku 1513, wydrukowana w drukarni przybyłego z Bawarii Floriana Unglera. Po pierwszej udanej próbie jak z rogu obfitości posypały się książki i broszury polskie, były to początkowo przeważnie modlitewniki, pieśni religijne, podręczniki do nauki czytania i rachowania, bajki i kalendarze. Dopiero w połowie wieku XVI ukazały się książki „ojca piśmiennictwa polskiego” Mikołaja Reja, a potem innych pisarzy polskich.

Obok Krakowa, który przez czas

dłuższy zajmował przodujące stanowisko w dziejach polskiego druckarstwa, zaczęły powstawać drukarnie, czyli „oficyny” drukarskie, jak je wówczas nazywano, w innych miastach polskich: w Gdańsku, Lublinie, Lwowie, Płocku, Poznaniu, Toruniu, Wilnie i Zamościu.

W wieku XVIII ośrodkiem druckarstwa stała się Warszawa, która za panowania króla Stanisława Augusta mogła się pochlubić szeregiem wybitnych drukarzy. Wydali oni imponującą ilość książek naukowych i bogatą literaturę polityczną w dobie Sejmu Czteroletniego.

Od czasów Gutenberga aż do początku wieku XIX tekst do druku odbijany był na prasach ręcznych. Robiło się to w następujący sposób. Najpierw zbierano litery i układano tak zwany skład, który później smarowano farbą drukarską. Oczywiście farba pozostawała na częściach wypukłych to jest na literach. Na tak przygotowanym składzie umieszczano czysty papier i przykręcano prasę, zaś po chwili wyjmowano zadrukowany arkusz. Po wyschnięciu farby arkusze te składano czyli *falcowano* i zszywano je ręcznie. Wyobrażacie sobie, jak uciążliwa i długa była taka praca, zwłaszcza gdy ilość egzemplarzy druków była duża? Na początku wieku XIX zaczęto



w przemyśle i komunikacji stosować parę. Spowodowało to duże zmiany dzięki zastosowaniu maszyn, poruszanych najpierw parą, a później elektrycznością.

Podobnie w drukarstwie dokonał się przewrót dzięki wynalazkowi Jana Fryderyka Koeniga, który zbudował w roku 1810 pierwszą mechaniczną prasę drukarską. Wynalazek ten, następnie udoskonalony, pozwala wykonywać setki i tysiące egzemplarzy książki lub czasopiśma w bardzo krótkim czasie.

Dzisiaj już posiadamy prasy drukarskie, które wykonywują od 2.000 do 40.000 egzemplarzy gazety na godzinę. Stało się to możliwe po udoskonaleniu wynalazku Koeniga oraz dzięki skonstruowaniu specjalnej maszyny zecerzkiej tak zwanego *linotypu*, który pozwala mechanicznie zebrać skład druku. Linotyp jest podobny do maszyny do pi-

sania tylko znacznie większy, zecer siedzi przed klawiaturą i uderza w klawisze; po każdym takim uderzeniu wyekskuje z magazynu odpowiednią matrycę, to jest metalowa forma wewnątrz pusta i z kształtem odpowiedniej litery. Po dokonaniu składu matryce napełniają roztopionym ołowiem i w ten sposób powstaje odlew już nie pojedynczych słów, lecz całych wierszy książki. Po wydrukowaniu książki czy czasopiśma odlew się topi, wydrukowane zaś strony i arkusze czyli każde 16 stron druku mechanicznie zszywa się i książka gotowa.

Dzisiaj książka dzięki swej taniości dociera wszędzie i jest nieodłącznym przyjacielelem człowieka od najwcześniejszych lat dziecinnych.

## W ZADYMIONYM SŁOŃCU

— Teraz opuścić filar!... — rzucił twardo Cimała i obejrzał się. Kamraci znikali w niskiej gardzieli ganku. Został sam. Podpalił płomieniem lampki pierwszy i drugi węzeł. Zajęły się w okamgnieniu. Chwilę patrzył na rdzawe płomyczki, czołgające się z sykiem po lontach.

Splunął, jeszcze raz rzucił oczyma po lontach i szybko wyszedł.

Na skrajnie ohodnika czekali go ludzie. Popatrzyli na niego pytająco.

— Chwyci! — rzekł i usiadł pod ścianą.

Upływały sekundy. Zdawały się być godzinami. Każdy czekał cierpliwie.

Nareszcie!...

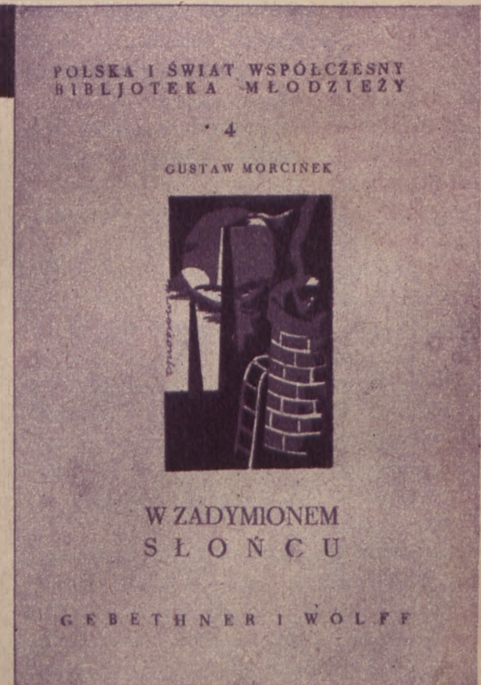
Szarpnęło powietrzem, kolnęło w uszy, światła się zachybotwały, a równocześnie w głębi filara rozpękł się pusty huk. Jak by ktoś ciężką, płaską sztabą uderzył po darni. Teraz drugi, trzeci!... Teraz dwa strzały naraz!...

— To jest pięć! — rzekł Cimała.

Znowu dwa... potem szybko trzy, jeden za drugim...

— To już dziesięć!... — rzekł znowu.

Znowu!... Huk złał się w jeden po-



strzępiony grzmot. Po chwili ostatnie dwa huki!...

— No, poszło wszystko!... — szepnął ktoś z ulgą.

— Dobrze rachowaliście?... Zdaje mi się, że jeden nie odpalił!... — zauważył Handzel.



— Zdaje się, że wszystkie... Poczeka-  
kamy chwileczkę...

Z filara wywalił się teraz silny,  
krztuszący, słodkawy dym. Włókł się po-  
woli koło ludzi jak znużony górnik,  
wracający ze szychty. Płuca zakrztusiły  
się gwałtownie.

— No, to wszystkie! — rzekł Cima-  
ła. — Wszystkie poszły... Ale poczekaj-  
cie... pójde się popatrzeć.

Jego światło i ciężkie kroki utonęły  
w dymie. Potem kroki ucichły, a sły-  
chać było tylko chrobot butów, stąpają-  
cych po zwalach węgla w filarze. Świa-  
tło zamieniło się w rozmazaną plamkę.

Znienacka szarpnęła ludźmi jeszcze  
jeden huk.

— Jezus!... — doleciał ich straszny  
krzyk z głębi.

I cisza.

Zerwali się ludzie, zerwały światła,  
rozdudniły przerażone kroki. Przed wy-  
trzeszczonymi żrenicami stanęła nowa  
ściana dymu, przygasły światła.

— Cimało!... — wrzasnęła Handzel.—  
Cimało!... Życie?...

Stanęli wszyscy przed zwalami wę-  
gla, podnieśli lampy. Lampy dygocą  
w dłoniach.

— Jest!... Oto... pod tamtą ścianą!...

— Jezus święty!... Brać go!...

Wyciągnęły się ramiona, podniosły,  
niosą go ostrożnie, Cimała jęczy. Za  
ludźmi sypie się skruszony węgiel ze  
ścian i stropu.

Doniesli go na zwrotnicę w chodni-  
ku, położyli na żelaznych płytach obok  
wagoników.

— Cimało!... Cimało!... Życie?...—  
woła któryś z gromady. Nachylają się  
nad nim lampy.

Rozpięto mu koszulę, rozdarto sze-  
roko. Po dłoniach lepi się krew. Widzą  
wszyscy — krew cieknie krętą strużką  
z lewego boku, kilka żeber złamanych.

— No, chwała Bogu!... Nic wam nie

będzie... Żebra macie złamane... To się  
zgoi...

— Pierrrona... boli... — kwili zdu-  
szonym głosem Cimała.

— To nic... To nic!... Mogło was za-  
bić!... A mówiłem, że jeszcze jeden od-  
strzał nie poszedł. Zaraz was wywiezie-  
my na wierzch... Będzie dobrze... — po-  
ciesza Handzel.

Już wiecie, kto to napisał: Gustaw  
Morcinek. To jest tylko urywek z jesz-  
cze jednej pięknej książki o Śląsku, ja-  
ką Gustaw Morcinek napisał ostatnio.  
We wszystkich książkach o swej ukocha-  
nej śląskiej ziemi uczy on nas pozna-  
wać największy cud, jakim ta ziemia  
słynie: cud pracy nieustannej. „*W za-  
dymionym słońcu*” od Tarnowskich Gór  
do Mysłowic tętni praca na ziemi i pod  
ziemią.

Piętnaście lat temu śląska ziemia od  
Odry do Wisły spływała krwią.

Przez trzy lata z rządu, w roku 1919,  
1920 i 1921-ym porywał się polski lud  
Śląska do walki o wyzwolenie z pod  
germańskiego jarzma, które ciążyło pia-  
stowej ziemi śląskiej od sześciuset prze-  
szło lat.

Dwa pierwsze powstania nie powio-  
dły się, ale trzeciemu powstaniu za-  
wdzięczamy to, że taki znaczny szmat  
ziemi został ojczyźnie przywrócony.

Nie wyliczy nikt poległych i ran-  
nych, nie spamięta nikt bezimiennych  
bohaterów walki przeciw najeźdźcom  
niemieckim. Ale godzi się oddać cześć  
tym wszystkim, którzy w powstaniach  
śląskich walczyli i należy o dniach po-  
wstania śląskiego pamiętać.

Historią chwały i walki pracowitego  
ludu śląskiego jest książka *Romana Ho-  
roszkiewicza* pod tytułem „*W trzecim  
powstaniu śląskim*” (wyd. Gebethnera  
i Wolffa).

## Z W I E R Z Y N I E C

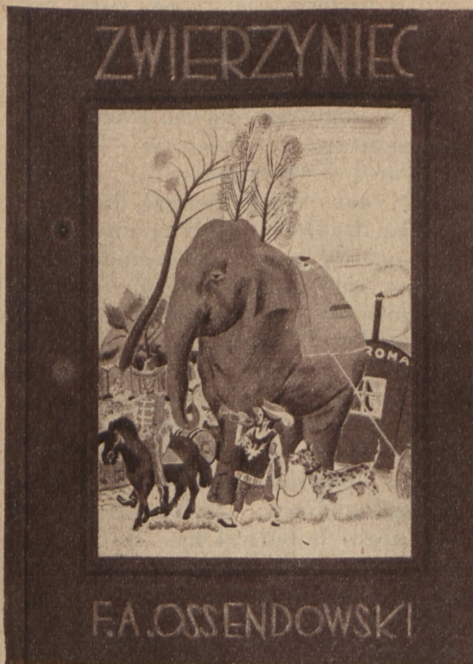
Kotka zatrzymała się natychmiast,  
lecz napastnik ze zdumieniem spo-  
strzegł, że nie wygięła groźnie grzbietu  
i nawet nie stuliła uszu.

Stała spokojnie i czekała.

Gdy rozpędzony kundel był o kilka  
kroków od niej, nagle przykucnęła.

Pies, któremu zniknął z przed oczu





cel, zaczął hamować bieg i stanął wreszcie. Pięć kroków dzieliło go od kotki, mógłby się rzucić na nią natychmiast, lecz był to stary wyga, wiedział, że kotkę można tylko schwytać z wielkiego rozpędu. W przeciwnym razie musiała rozgorzeć walka. Przypomniawszy sobie w oka mgnieniu straszne blizny, zadane mu niegdyś pazurami i ostrymi szarpiącymi kłami kotek białych, szarych, czarnych, na które nieopatrznie napadał w młodości. Nie wiedział, co ma robić, lecz nie chcąc widocznie zdradzić swego wahania i zdumienia, usiadł nie spuszczać oczu z rudej łaciatej kotki.

Ta zaś od razu wszystko zrozumiała: i to, że napastnik już próbował bójki z jej towarzyszkami i teraz nie śmie zerwać się do ataku, i to, że udaje odważnego. Podniosła się więc i z wyprostowanym, wyprężonym ogonem, co chwila zerkając na psa łaszącym się lecz baczny wzrokiem, powoli rozpoczęła odwrót.

Kundel trzymając się o kilka kroków z tyłu szedł za nią glucho warcząc. Był wprawdzie gotów w każdej chwili rozpocząć pościg i napad, ogarniało go jednak coraz większe zdumienie. Łacia-

ta, chuda kotka nie czuła przed nim żadnego strachu. Widział to wyraźnie i rozumiał. Szła bowiem spokojnie, bardzo wolnym, pewnym krokiem z lekka potrząsając wyprężonym ogonem i cicho pojednawczo mruczając.

Postąpiwszy kilka kroków stawała, a wtedy psisko musiało się nagle zatrzymać przysiadając na tylnych łapach i wpierając przednie w okrągłe kamienie bruku.

Pies czuł myśli kotki coraz dokładniej.

Żądała od niego wolnego przejścia. Było to dla niej niezbędne, konieczne za wszelką cenę. Obiecywała mu za to wdzięczność, lecz jednocześnie podszeptowała głosem bez dźwięku, że będzie się domagała wszystkimi sposobami spełnienia swego żądania. W pewnej chwili kurczyła okrągły pysk, ukazywała ostre kły i wysuwała krzywe pazury, a kundel rozumiał, że była w tym pogróżka. Tak doszli do płotu, za którym stały stare drzewa owocowe.

Kotka wydała miauczenie.

Z pomiędzy przegniłych desek ogrodzenia wybiegły z piskiem kocięta.

Z podniesionymi ogonami łasiły się





do matki nie zwracając żadnej uwagi na stojącego w pobliżu, skamieniałego ze zdumienia psa, popychały się i ocierały o łaciata, rudą kotkę.

Kocięta wybiegły naprzód co chwila przystając i oglądając się za matką. Stara kotka zdążyła za nimi spokojnie, jak gdyby czarny kundel odszedł już dawno.

Kundel jednak szedł tuż za nią, lecz coraz wolniej, coraz bardziej niepewnym krokiem i już w grobowym milczeniu. Niby powstające gdzieś bardzo blisko powiewy, pochwytywane ostrym węchem, niby ledwie dostrzegalne błyski, rodzące się w mroku, pies wyczuwał nastroje kotki.

Były w nich gorące błagania, upomnienia rozsądne, utajone pogrożki.

— Muszę dojść do tych szczurów koło straganów — rozumiesz? — szeptały bezdźwięcznie kocie myśli zapadając do mózgu kłótliwego kundla. — Rozumiesz?! Dzieci moje głodne są, muszę je nakarmić! Więc cokolwiek się stanie, przeprowadzę je przez rynek. Bądź do brym, uczciwym, rozsądnym psem...

Spotkanie kotki z psem, zakończone na szczęście bez walki, odbyło się nocą

na rynku małego miasteczka, gdzie stał cyrk Pawła Romy.

W tym cyrku, gdzie żyją w klatkach dzikie zwierzęta, gdzie wieczorem płoną światła, a pogromca Paweł Roma daje dwa przedstawienia dziennie — dzieją się dziwne i straszne rzeczy.

Lew Cezar i tygrys Bengal, dwaj najgroźniejsi drapieżcy, tęsknią do wolności. Z pogardą patrzą na czeredę koni, brytanów, małp, papug — na te zwierzęta, które człowiek na zawsze ujarzmił i przekupił codzienną strawą.

Ale i lew i tygrys — i oswojone towarzystwo z Misiem i rysiem na czele pracują na właściciela cyrku.

O pracy tej, o życiu w cyrku wędrownym opowiada piękna książka F. A. Ossendowskiego: „Zwierzyniec”. Od olbrzymiego, bohaterskiego słonia Gustawa, aż do barwnej papugi Arary — wszyscy mieszkańcy zwierzynca cyrkowego mają tam swoje życiorysy. A każdy życiorys jest jak powieść. „Zwierzyniec” wydało Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu, to samo, które na tę gwiazdkę dało dzieciom aż 10 tomików opowieści Ossendowskiego o zwierzętach. Są to piękne książeczki z kolorowymi ilustracjami Lipskiego. E. Sz.

## OPOWIEŚCI PRZYRODNICZE

Czytaliście już w zeszłym roku pierwsze książeczki pod tytułem „Opowieści przyrodnicze”. W tym roku ukazały się dalsze tomiki tych opowieści. Tomik 7 napisał B. Dyakowski pod tytułem: „Królowa górskiego źródła”. Jest to ciekawe opowiadanie z życia płazów, o traszkach i salamandrach. Jak się traszki dostały do akwarium i jak chłopcy prowadzili hodowlę traszek? To wszystko znajdziecie w tej książeczce, którą autor zaopatrzył w 2 tabelki, gdzie są podane dokładne wskazówki do rozróżniania naszych płazów ogoniastych oraz wiadomości dotyczące rozmieszczenia ich i sposobu życia.

W tomiku 8 Czesław J. Centkiewicz opisuje swe wspomnienia z pobytu na wyspie Niedźwiedziej. Na wyspie tej

Opowieści 7  
przyrodnicze

B. DYAKOWSKI

KRÓLOWA  
GÓRSKIEGO ŹRÓDŁA



nasza księgarnia  
warszawa





spędził autor 13 miesięcy w towarzystwie dwóch kolegów, dokonywał tam badań naukowych w bardzo trudnych warunkach podczas nocy polarnej. Tomik ten ma tytuł: „W krainie zorzy polarnej”, a skąd powstała nazwa wyspy, dowiedzie się z następującego wyjątku:

«Jedna z wypraw polarnych w XVI wieku pod wodzą Holendra Barentsa natrafiła na północ od Norwegii na małą wyspę o skalistych, wysokich wybrzeżach. Z daleka już było widać chmury ptactwa ponad skałami. Kapitan kazał zatrzymać statek. Podróżowano już od paru miesięcy i wszystkim się znudziły suchary i wędzone mięso. Toteż ślinka ciekła marynarzom na myśl o ucztach, jaką sobie wyprawiają po upolowaniu kaczek polarnych. Z ochotą więc opuszczają łódź na morze i czym prędzej wiosłują do brzegu. Gdy w najlepsze zajęci są polowaniem, naraż zza załomu okazały ukazują się olbrzymi białe niedźwiedź. Marynarze zdrętwieli z przerażenia, ale jeden z nich, z toporem tylko w rękę, odważnie rzuca się na zwierza. Wymierzył cios tak dobrze, że jednym uderzeniem

rozplątał głowę niedźwiedziowi! Było to całe szczęście, bo gdyby go był tylko zranił, nikt przypuszczalnie nie uszedłby z życiem.

Gdy marynarze ochłonęli trochę, wtedy dopiero zdali sobie sprawę, jak olbrzymi był niedźwiedź, który ich zaatakował. Miał on z górą 4 metry długości, to znaczy, że był więcej niż dwa razy większy od dorosłego człowieka. Na pamiątkę tego zdarzenia wyspę tę nazwano Wyspą Niedźwiedzią. Poznałem i ja tę wyspę, bo na niej w roku 1932/33 spędziłem 13 miesięcy, jako kierownik pierwszej polskiej wyprawy polarnej.

Od czasu do czasu, po zrobieniu obserwacji o godz. 19-ej i po zjedzeniu obiadu, wszyscy trzej zabieraliśmy się do pieczenia ciastek. Za pierwszym razem — udało się! Ciasto wyglądało bardzo dobrze, ale gdy oстыgło, stało się tak twarde, że trzeba było rąbać je toporkiem. Jednak czasami udawało nam się zrobić coś naprawdę smacznego i wtedy zapraszaliśmy do siebie Norwegów na czarną kawę. Domki nasze połączone były telefonem, który był stałym łącznikiem między nami, gdyż zda-





rzało się czasami podczas burzliwej pogody, że nie widywaliśmy się po dwa tygodnie. Gdy pogoda i obserwacje na to pozwalały, odwiedzaliśmy się co sobotę wieczór. Raz oni do nas przychodzili, raz my do nich.

Bardzo miłe były te zebrania. Gdy nie było zbyt silnego wiatru, przychodził do nas i mały Björn. Podczas nie-

pogody zostawiano go w łóżeczku i na poduszce kładziono słuchawkę od telefonu. W ten sposób u nas słychać było, jak Björn oddycha spokojnie w śnie. Gdy się przebudził i zapłakał, matka lub ojciec biegli, aby go uspokoić. Ale Björn bardzo rzadko płakał, w ogóle był przemiły, wesoły — prawdziwy mały niedźwiadek!»

## POLOWANIE NA WILKI

Władysław Lis korzystając z wolnego od pracy czasu postanowił nauczyć się jeździć na nartach, ponieważ było to niezbędne do zimowego polowania. Chciał też dobrze poznać psa i wprawić się do wspólnych z nim łowów.

Śnieg skrzył się tak jaskrawo, że zesłaniec musiał mrużyć oczy. Z pod białej powłoki tam i sam wyglądały do kropli krwi podobne jagody żurawiny, borówek i „kniażeniki”. W takich miejscach Lis spostrzegał zwykle wykopane dołki i liczne ślady. Gdy wreszcie ujrzał zrywające się pardwy, zrozumiał, że to północne, białe kuropatwy wygrzebywały dla siebie spod śniegu pożywienie.

Inne, a coraz liczniejsze ślady biegły też poprzez białą płaszczynę tundry, chociaż wydawała się pustynną i martwą. Nic jednak dojrzeć nie mógł nie nawykły do syberyjskich łowów myśliwi.

Wtedy to uczyć go zaczął tej sztuki rudy, kudłaty Urr.

Mijali właśnie zarośla brzozy polarnej, nędznej, karłowatej, płaszczącej się tuż przy ziemi. Pies nagle przystanął, podniósł głowę i najeżył sierść na karku. Małe ostre uszka drgały mu, chrapy rozdymały się i węszyły.

Lis postąpił kilka kroków ku niemu, trzymając w pogotowiu strzelbę. Urr natychmiast podczołgał się do swego pana, zapiszczał cieniutko i szarpnął go z lekka za nogę, jak gdyby chcąc zatrzymać na miejscu.

Lis stanął, jak wryty.

Piesek porozumiewawczo mruknął



ogonem i jął skradać się ku haszczom. Po chwili podpełznął do nich i położył się na ich skraju. Poruszał z wolną głową na wszystkie strony, węsząc i nasłuchując.

Widać, że w mig zrozumiał wszystko, bo bez szmeru powrócił do myśliwego i szarpnąwszy go znowu pobiegł naprzód oglądając się raz po raz. Lis szedł za nim z zachwytem patrząc na mądre zwierzę. Piesek doprowadził go do miejsca, gdzie z haszczy brzeziny wybiegała szeroka ścieżka. Węszył tu długo opuściwszy ogon, aż wreszcie zaskowitył cicho, znowu szarpnął myśliwego wbijając w niego surowe ślepie, po czym nie oglądając się pobiegł na lewo.

Człowiek zrozumiał, że pies pozostał go tu na czatach, więc postąpiwszy



kilka kroków ukrył się za krzakiem i podniósł kurek karabina. Z bijącym sercem wpatrywał się w powikłaną sieć nągich prętów z poruszającymi się tu i ówdzie żółtymi liśćmi.

Nie widział już teraz Urra.

Minęło kilka długich minut oczekiwania, gdy nagle przed nim, z przeciwnego końca zarośli, rozległo się jedno, jedyne basowe szczeknięcie pieska. Prawie w tej samej chwili myśliwy posły-

szął lekki trzask w krzakach i na ścieżkę wybiegły, jeden po drugim, trzy wilki.

Pierwszy z nich — szary, prawie biały, przystanął nagle, aby rozejrzeć się po tundrze, lecz w tej chwili buchnął strzał i wilk ugodzony w pierś tuż pod szyją, padł rozrzucając śnieg i brocząc krwią. Inne pierzchły do haszczy...

Dalszy ciąg tej opowieści znajdziecie w książce F. A. Ossendowskiego p. t. „Mocni Ludzie”, wyd. Książnicy-Atlas.

## Z ŁĘCZYCKIEJ ZIEMI

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Piękne dni wczesnego lata pozwalały na urządzenie wycieczki krajoznawczej. Toteż w starszych klasach szkoły powszechnej w Łodzi zapanowała wielka radość, gdy nauczycielka historii, panna Maria, zapowiedziała wycieczkę do Łęczycy. Nazajutrz dzieci gwarnie i wesoło zajęły wagon, zadowolone, że opuszczają mury dusznego miasta.

— Za godzinę będziemy w Łęczycy — oznajmiła panna Janina, kierowniczką wycieczki. — A nie tak dawno, bo zaledwie kilkanaście lat temu, podróż z Łodzi do Łęczycy czy na odwrót trwała prawie cały dzień, gdyż odbywało się ją końmi. Wprawdzie droga była malownicza, bo większa jej część biegła wśród olbrzymich lućmierskich lasów, ale nie zawsze bezpieczna.

Dzieci rzuciły się do okien chcąc przyjrzeć się okolicy. Niektóre z nich znały ją dobrze, więc co chwila rozlegały się okrzyki:

— Zagajnik! — Widać wille!

— O, tu byłem na wakacjach! Jak tu dużo żółtego piasku! Pysznie leżało się na nim w słońcu!

— Niedługo będą lasy. Uważajcie, zaraz będzie Zgierz!

— Niedaleko Zgierza — objaśniła panna Janina — w Łagiewnikach, w gęstym lesie stoi klasztor z XVII stulecia...

Pociąg zatrzymał się. Zgierz.

— O, Łagiewniki! Widać Łagiewniki!

Okna znów zostały ohlężone. Z gęstwiny leśnych drzew wychylały się wierzchołki klasztornych wieżyc. Za chwilę pociąg ruszył dalej. Wkrótce zniknęły kontury klasztoru.

— W okolicy Zgierza znajdują się źródła rzeki Bzury, nad którą leży Łęczycza — objaśniła panna Janina. — Wjeżdżamy w ziemię dawnego księstwa łęczyckiego. Będziemy teraz napotykać wsie, których zaczątki powstania giną w mrokach tworzenia się państwa polskiego. Ich prastare nazwy zachowały się do dziś i dla historyka mają głębokie znaczenie.

Zofia Lepecka opisuje dalsze koleje wycieczki szkolnej po pięknej łęczyckiej ziemi w książce pod tytułem: „W Łęczyckiej ziemi”. Przeczytajcie ją, a dowiecie się o przeszłości i zabytkach historycznych tego pięknego kraju.



## WIGILIA WOJTUSIA

Wojtusiowa matula posprzątała czyściutko izbę i zagniotła kluski z makiem na Wilię. — Smutna była, bo słuchy dochodziły, że wojna coraz bliżej idzie, ale niemniej patrzyła, aby czego na święta nie zapomnieć, bo to wojna — wojną, a barszcz z grzybami swoim porządkiem być musi — aż sięgając za piec spostrzegła, że ledwo parę polan drzewa tam zostało — więc się zwróciła do synka, który siedząc przy oknie pilnie szabelkę z patyka strugał.

„Dziś Wigilia Narodzenia —  
trza nałożyć w piec płomienia,  
warzyć kluski, warzyć żur,  
a tu, patrzaj, drew nie stanie — —  
poąpiesz, Wojtus — weź se sanie,  
jeć po suche drzewo w bór.  
Wdziej futerko tatusiowe  
i czapeczkę włóż na głowę,  
idź se hań w gromadzki las,  
w ten najbliższy las sosnowy,  
gdzieś to latem pasał krowy — —  
a wracaj mi z drzewem w czas. —  
Mówią, że gdzieś bliżej wojna,  
więc-em jakoś niespokojna — — —  
źle mi się coś śniło raz”.

„Nie bój, matuś, nie bój że się,  
już ja ci nie zginę w lesie,  
znam ja tam każdziutki gaj.  
Ino se powróło skręcę,  
żebym ciągnąć nie zmarzył w ręce,  
i polecę — wiem już kaj.  
Choć-ta gdzieś-ta wojna idzie,  
damy radę w każdej biedzie,  
a sen mara — baju baj.  
Tyle drzewa ci nazwożę,  
że na tydzień starczy może,  
tylko, matuś, — chleba daj.  
Matuś droga — kromkę chleba —  
bo sarence zanieść trzeba,  
choć dziś, w Wilię, chociaż raz,  
sarna taka dobra, miła,



sama do mnie przychodziła,  
kiedym latem krowki pasł.  
Pewno głodna dziś, w Wilije,  
i wyciąga chudą szyję —  
szuka zgniłych traw,  
z głodu jeszcze zdechnąć może — —  
ukraj kromkę — chleb w komorze —  
nóż na stole leży haw”.

Uśmiechnęła się serdecznie Wojtusiowa matula — przyniosła z komory bochenek chleba i ukroiwszy sporą kromkę, dała ją Wojtusiowi i rzekła, całując go w główkę:

Naści chleba, zamieś sarnie,  
kiej się tak do ciebie garnie,  
juści, Boekie jest stworzenie,  
niech se podje w Narodzenie.

Podziękował Wojtek matuli bardzo pięknie, a potem wdział kozuch i czapeczkę, trochę przyduże, ale ciepłe, wsunął do kieszeni swój ulubiony kozik i wybiegł przed dom.

Ciekawi jesteście, jak się udała wyprawa Wojtusia? To przeczytajcie sobie książeczkę „Wigilia Wojtusia”, którą wydała „Nasza Księgarnia”.





## KSIĄŻKI O AFRYCE

— Chciałbyś zobaczyć Afrykę?  
— Pewnie! Co za pytanie! Choćby dziś!

— A czy wiesz o Afryce cośkolwiek?

— Nawet dużo!

— A co?

— Wszystko: Afryka... hm... Afryka to część świata.

— I to już wszystko?

— Nie. W Afryce mieszkają sami Murzyni. I lwy.

— Ho, ho! To niewiele wiesz. I to, co wiesz, też wiesz źle. Bo tam nie tylko Murzyni mieszkają, ale i Arabowie, i Egipcjanie. Jest ich dużo: kilkanaście milionów. A i biali mieszkają na południu w pokaźnej ilości.

— No, tak. Właśnie chciałem to powiedzieć. I o słoniach też.

— A co to jest pawian?

— Nie wiem. Pawian taki paw.

— Człowieku! A czy wiesz, że w Afryce mieszkają karły?

— Pewnie mieszkają, skoro tak mówisz. Tobie łatwo mówić, łatwo dużo wiedzieć, bo czytasz książki. A ja nie. Ale ja i tak będę podróżnikiem. A nawet...

— Zaraz. Powiedz mi tylko, ile dni trwa podróż z Gdyni do Dukli?

— Do Dukli, to chyba gdzieś w Afryce południowej. Ze cztery tygodnie okrętem, a potem już dżungla.

— Hm. No, tak. A przez jaki kraj jedzie się od Atlantyku do Oceanu Indyjskiego?

— Pewnie przez Indie.

— Na pewno?

— Tak. Przez kraj, gdzie żyją Indianie.

— No, widzisz. Mnie to mogłeś mówić, bo ja nie powtórzę. Ale nie wrywaj się z takimi wiadomościami geograficzno-przyrodniczymi przy obcych ludziach, bo będzie wtyd i tak zwany śmiech na sali.

— To co mam robić?

— Czytać. O Afryce książek nie brak. I jeszcze jakie! Najpierw Ferdynanda Ossendowskiego „Afryka — kraj i ludzie”. Masz tam cztery opowieści

z czterech krańców Czarnego Łądu. Pisał je człowiek, który Afrykę zna jak własną kieszeń i który wie, że Dukla to nie dżungla.

— Ja tak nie powiedziałem!

— Ale prawie tak. Z Gdyni do Dukli jest dwa dni drogi kolejowej łądem. No, ale ciebie obchodzi bardziej podróżę po nieznanych łądach. Dobrze. Masz tutaj książkę J. Bornsteinowej i A. Czapińskiej: „Przygody Tomka w krainie karłów afrykańskich”. Wydawnictwo Książnicy-Atlas. A wiesz, co to jest Atlas?

— Wiem. Mapa.

— Nie mapa, ale zbiór map. I pisze się wtedy „atlas” małą literą. A dużą literą pisze się Atlas, który oznacza nazwę gór w Afryce.

— Zabawne!

— Nie tylko zabawne. Czy wiesz, że góry te zwiedzili kilka lat temu polscy uczeni i podróżnicy?

— Naprawdę?

— Tak. I zdobyli światową sławę śmiałyymi wyprawami na nieznanne szczy-

J. BORNSTEINOWA-A. CZAPIŃSKA  
PRZYGODY TOMKA  
W KRAINIE  
KARŁÓW AFRYKAŃSKICH



KSIĄŻNICA-ATLAS  
LWÓW-WARSZAWA



ty. Tylko o tych wyprawach nie wszyscy Polacy wiedzą.

— Ja już wiem.

— Co wiesz?

— Nic.

— No, widzisz. A jeżeli przeczytasz sobie książkę B. Chwaścińskiego i J. Wojsznica „*Wśród gór Marokka*”, to już się dowiesz. I warto by, abyś wiedział, bo po to właśnie książkę tę wydało Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Mógłbyś się czegoś nauczyć...

— Dobrze. Przeczytam tę książkę tamte też. A potem zostanę afrykańskim kowbojem.

— Chłopie, co ty pleciesz? Jakim kowbojem?

— Mówię wyraźnie: afrykańskim.

— Prędzej zostaniesz afrykańskim wielbłądem niż kowbojem.

— Dlaczego?

— Przecież kowboje żyją w Ameryce Północnej.

— Czy to nie wszystko jedno?

— Jak to? A czy ci nie będzie wszystko jedno, kiedy jaki Amerykanin powie, że Gdynia leży na Saharze?

— Tak nie powie. Wstyd tego nie wiedzieć.

— I nie powie na pewno. Ale tobie powinno być wstyd za tego kowboja.

— A skąd ja mam wiedzieć?

— Kto chce wiedzieć, ten wie. Jest nawet taka książka, która opisuje życie Polaka wśród kowbojów amerykańskich.

— To pokaż ją, przyjacielu!

— A tamte też?

— Wszystkie! I pośpiesz się!

E. Szymański

## CHŁOPIEC Z PINJOROWYCH LASÓW

Znany podróżnik polski *Bohdan Pawłowicz* opisuje w swej książce „*Chłopiec z pinjorowych lasów*” przygody polskich emigrantów w Brazylii.

Las dyszał żarem. Duszne zapachy pełzły z obierzy, trwały w gęstwie i zasnuwały karczowiska, na których pracowali ludzie. Powietrze stało nieruchome, drżące w świetle słonecznym. W onym skwarze i bezruchu fioletowa siność mgielna przysłaniała lasy, polany, golizny, wyręby i gołoborza, a czerwień ziemi na drogach i osypiskach krwawiła się niby otwarte rany.

Pośród lasów *pinjorowych*<sup>1)</sup>, ciemnych, falujących po wzgórzach, odbijały jasnymi plamami dwie spore poręby, wśród których białe chaty i żółciały zagrody kolonistów. Opodal strumień lśnił się srebrzyście, rażąco, leniwy teraz, wąty i coraz to nurkujący w liliową zielen haszczy.

Chaty były zasobne, bielone, z okien-



nicami na zawiasach, przywartymi przed słońcem, z podcieniami ganków przede drzwiami, pokryte dranicami, otoczone małymi ogródkami, zszarzały mi od spiekoty.

Jedna większa, bardziej przepaściasta, stojąca niby kokosza pośród piskląt na środku gospodarskiego obejścia, bielila

<sup>1)</sup> Pinior — iglaste drzewo w Południowej Brazylii (araukaria brazylijska).



z powrotem do wody. Ta zamyka się nad nim z bulgotem i tyleś go widział.

Chciały go kiedyś dzieci zobaczyć i z uderzeniem dzwonów, dochodzących zza lasów, stały już nad stawami zbite w gromadkę dla dodania sobie odwagi i patrzyły w czarną topiel. Nie widziały go jednak. Czasami tylko wpływał na wodę bąbel powietrza albo przestraszona żaba wyskakiwała im z pod nóg i z pluskiem znikła w wodzie. Kiedy uciębły dzwony, dzieci odchodziły, rozczarowane ale także z pewną ulgą, bo przecież niemiło byłoby im zobaczyć topielca, kołyszącego się na którymś liściu.

Raz tylko o mało nie doszło znowu przy tym do bójki, bo Karel od Kuligów, który znalazł się przypadkowo między wyczekującymi, twierdził stanowczo, że tu utopca nie ma, że to są „powiarki”<sup>8)</sup> starych bab, w które mogą wierzyć tylko tacy smarkacze, jakimi oni są, ale nie jemu o tym opowiadać. Już się mieli na niego rzucić, kiedy na drodze, prowadzącej do dziedziń, zobaczyli żyda z wędrownym kramikiem na plecach i całą gromadą wybiegli mu naprzeciw.

Odprowadzano długo brodatego kupca od chałupy do chałupy i w każdej z nich na nowo oglądano przeróżne dziwy, wypakowywane z tobołka. A Karłowi pod koniec zupełnie nawet wybuchono, kiedy zaczął opowiadać, że jak tylko ukończy szko-

Widocznie ze skutkiem, bo po chwili w najlepszej zgodzie wspólnie już wykańczali arcydzieło.

Jurek potem z dumą pokazywał wiatrak dziewczętom. Udawały początkowo zagniewanie z powodu jego poprzedniego zachowania się i nie podnosiły głów z nad zycia. Ale wkrótce przemogła w nich ciekawość.

— Podobno sie wóm? — pytał chciwy uznania i kazał im dmuchać w skrzydła tak, aby się obracały, szczęśliwy, że wywołał odpowiedni podziw. Do rąk pozwał jednak brać tylko na chwilę i to jeszcze pilnował zadróżnie, żeby zausadto nie ruszały. — Pódźcie, pokożymy go starzikowi — wyciągał dziewczęta. Chciał mieć świadków pochwał ze strony dziada.

Przeszli przez sionkę na drugą stronę chałupy, gdzie miał siedzibę ojciec obecnego gazdy, stary Macura.

Starzik<sup>6)</sup>, jak go ogólnie w rodzinie nazywano, był kiedyś zawołanym myśliwym, nierządno uprawiał kłusownictwo przepadając czasem nawet na kilka dni w lasach. Gospodarstwem zajmował się mało zostawiając starania wokolo niego swojej żonie, a kiedy ta umarła, przekazał je synowi, a sam poszedł do niego „na wymowę”. Ostatnie lata spędzał w swojej izbie albo w zagrodzie, gdzie krzątał się koło pasieki, rozbrzęczanej pszczołami, które obecnie były jego jedyną radością.

<sup>8)</sup> Opowiadania.

<sup>6)</sup> Dziadek.



Czasami tylko, kiedy opadała go tęsknota za dawnymi raubszyczkami wóczegami, wędrował w stronę gróń na kilkanaście godzin, a później wracał do chatupy jeszcze bardziej ponury i zamknięty w sobie.

Wśród ludzi, do których zbliżał się niechętnie, krążyły o nim rozmaite pogłoski. Złośliwi snuli o życiu starego Macury rozmaite domysły. W każdym razie miał on na sumieniu niejednego „sarnio-ka” nie mówiąc o mniejszej zwierzynie.

Dzieci bały się go, ale lubiły go odwiedzac i posłuchać jego opowiadań, chociaż nie zawsze się dał na nie uprosić. A teraz Jurek niosąc swój wiatrak przypuszczał, że starzik jemu, którego najbardziej kochał z pośród wnuków, opowie w nagrodę jakąś historię o zbojaczach.

Przez chwilę stali pod drzwiami, jakby nabierali odwagi przed wejściem. Wreszcie Jurek otworzył je i wszedł pierwszy, za nim wsunęły się dziewczęta cichutko jak myszki.

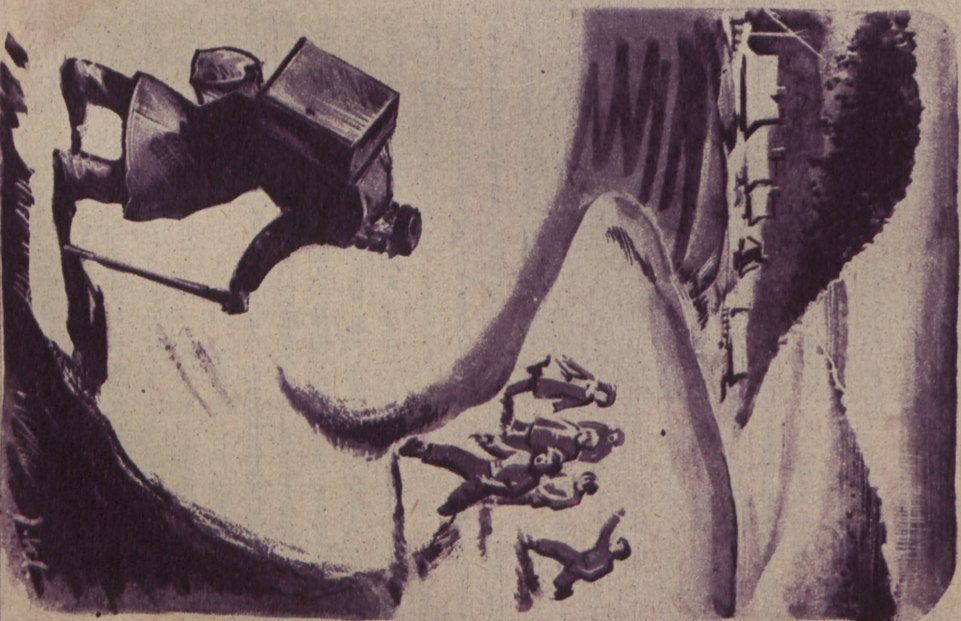
Stary siedział przy stole z nieodstępną fajeczką w ustach. Niedowidzącymi oczami popatrzył w stronę drzwi.

— Kieryż tam? — zapytał bezbarwnym głosem.

— To my, starziku, przisili my na chwile do was — szybko wypowiedział Jurek.

— Jura zrobił bardzo piękny młynek, co sie będzie sóm na wietrze obracoł — Hanka próbowała odrazu go zainteresować arcydziełem Jurka.

— Pokoż to — powiedział starzik.





Zostawili milczącego staruszka i wrócili do izby.

Ewa pożegnała się z wszystkimi przez uchylone drzwi.

— Przydź zaś — zapraszano odchodzącą.

Po chwili zginęła w mroku i deszczu.

### ROZDZIAŁ III.

#### *Kataryniarz i głupi Janó.*

Takie popołudnia, jak owo spędzone u staruszka, zdarzały się naszej trójce rzadko. Przeważnie schodziły im dnie podobne jedne do drugich. Ponieważ to były właśnie wakacje, więc prawie cały czas spędzano na polu, do domu wpadano tylko po to, żeby porwać jakiś kawałek chleba i znowu znikano.

Bawili się w lesie, gdzie budowali szałas z gałęzi i chróstu gromadząc w nich zapasy mchu. A w południe chodzili całą gromadą nad stawy, zarosnięte trzcinami. Ludzie w dziedzinie opowiadali, że w nich mieszka utopiec. Miał to być taki mały chłopiec w czerwonym „kabocie”<sup>7)</sup> i czerwonej czapeczce na głowie. Palce u rąk i nóg spięte ma błoną jak kaczka. Kiedy w południe w sąsiedniej wsi dzwonią na wieży kościelnej, wyskakuje z głębin wraz ze swoimi pierzynami, rozkłada je na liściach i suszy. Z ostatnim uderzeniem dzwonu wskakuje

<sup>7)</sup> Surdut.

Przystąpili już śmielej do stołu i jedno przed drugim objaśniali zalety wiatraka.

— Piekne to mosz—otrzymał pochwałę Jurek. Chłopak poczerwieniał z radości. Zastuląc na uznanie mrukliwego starzika było trudno. Skorzystała z tego Hanka i poprosiła o radę na kolano Ewy.

— Na gdzies to zrobiła? — zapytał po obejrzeniu.—Ale jest spóchnione—i naciśnął obrzmiałe miejsce, aż syknęła z bólu.

— Dostóń, Hanka, z półki zajęcze sadło, tam na ławce jest sznalka, naszmaruj ją i zawiąż. Jewce nogę — rozkazał, a potem jeszcze raz zapytał. — Spadłaś, czy cie kiery uderzył?

Dzieci miały zaufanie do staruszka. Wiedziały, że umiał dochować powierzonych mu tajemnic. Opowiedziały mu więc o wczorajszej bójce. Opowiadał Jurek, dziewczęta wtrącały swoje trzy grosze, aż je trzeba było uciszać.

— Ja, ja, stary Kulig był taki sóm, a młodzi nie lepsi — odezwał się w końcu starzik niechętnie.

Nie lubił Kuligów, a z ich ojcem miał od dawna na pieńku. A widocznie opowiadanie dzieci wywołało w nim jakieś wspomnienia, bo zaczął o czymś mówić, ale raczej dla siebie niż dla nich. Shchali z uwagą, mimo że pewne rzeczy były dla nich niezrozumiałe. Nie pytali go jednak wiedząc że nie lubi, by mu przerywano.

W pewnej chwili odważył się Jura prosić sta-



ruszka, by opowiedział im historię o Ondraszku i jego „zbojnikich” wyprawach.

— Przecach wóm już to tela razy opowiadaj? — uśmiechnął się stary Macura.

— To nie, my by chcieli jeszcze roz. o nim posłuchać! — prosili.

Był widać dziś w dobrym humorze, bo dał się uprosić. I przed oczyma dzieci stanął jeszcze raz groźny zbrojca Ondraszek, który wraz ze swoimi towarzyszami wędrował przez gronie, wzduż i wszcz przemieszał nieprzebyte lasy.

— Nie takie, jak dzisiaj — wzdychał Macura z zalem. — Napadał na zamki, bogaczy obrabowywał i kupców, a potem wspomagał ubogich i potrzebujących. Nieustraszony a przy tym strzeżony przez złe moce, diabłów i czarownice, przez długie lata zbrojował bezkarnie. Zginął w końcu wskutek zdrady jednego ze swoich towarzyszków. Pozostały po nim skarby, zakopane na rozmaitych szczytach gór. Płnują tych skarbów diabły, zwane przez ludzi „jaroszkami”. One to przespływają z wielką hubością złote dukaty w rozłożoneczniane południa. Suszą je. Czasami ktoś z ludzi widzi je przy tej robocie i skuszony blaskiem złota pragnie go zdobyć. Udało się już to niektórym, ale kiedy uszczęśliwieni wrócili do domu, okazywało się, że trzymają w ręce nie dukaty ale zeszechle liście — bo jaroszki z zemsty odmieniły dukaty. Czasami znów wychodzi Ondraszek z pod ziemi i idzie ze swoimi kamratami gdzieś w dal...

Według starzika jednym z „groni”, na którym pokazuje się Ondraszek, jest ten, który widać przez okno.

Dzieci patrzyły z zacięciem na stojącą we mgle i deszczu górę.

— A widzieliście ich kiedy, starziku? — pytali zacięciem. Przypuszczali, że dla niego nie ma nic niemożliwego.

Okazało się, że stary Macura ich widział w pewne parne popołudnie, kiedy zmęczony położył się koło skał, znajdujących się na gronie. Zbójce przeszedł koło niego, ale nie zauważył go, bo był ukryty.

Patrzyli oczarowani na zieleniejącą lasami górę, na kłębiące się na jej gołym wierzchołku mgły. I nagle wszyscy zapragnęli jednego i tego samego.

— A co zrobią zbójce, jak uwidzą tych, co ich podglądają? — pytał Jura.

— Nie wim, nikierzy z tych, co ich chcieli uwidzieć, już więcej żywi do domu nie przyszli. Znaszli ich ludzie po kilku dniach zamyszczonech w jakieś krzaki.

Góra namotała na swą głowę gesty szary czepiec z chmur, jakby kryła przed oczami ciekawych swoją tajemnicę.

W izbie zrobiło się nagle cicho, a z kątów wypęzał mrok.

Trzeba już wracać. Zsuwali się powoli z ławki, a już też było słychać:

— Dziecka, kajezcie się? Ziyimioki szkrobać.



się na wzgórzu, opadającym czerwoną, strumą ścianą nad sam strumień; druga mniejsza, uboższa, lecz jeszcze bardziej schłodna wśród cienistych gajów śliw parańskich i *brakatingi*<sup>2)</sup> przytuliła się do brzegu lasu, a zielony *herval*<sup>3)</sup>, u stóp wysokopiennych piniarów brał już w ramiona gródz gospodarskich zabudowań, składających się z kuchni, osobno stojącej, niewielkiej obory i stodoły bez ścian.

Było z półtora kilometra od chaty do chaty. Pomiędzy zagrodami zieleśniały pola odradzających się, młodych krzewów, lub czerniały wyżary niedaw-

no palonych *ros*<sup>4)</sup>, na których tu i ówdzie sterczały nagie, szare, smutne pnie popalonych drzew.

Rodzina Czaplińskich sadziła *fiżon*<sup>5)</sup> na „rosie”, świeżo palonej, że jeszcze dymki wstawały z popiołów, tułały się nad polem i, bezwładne w bezwietrznej duchocie, zsuwały nad potok, gdzie je prąd zimniejszego powietrza rwał na pasma, pasemka, układał w koła, kółka, obrączki, pierścienie, niby zręczny palacz tytoniu i na koniec włączał w przesmyk, w którym dymki nieruchomiały i słaćwały się w ciemny opar.

## TAJEMNICA ZEGARA KRÓLEWSKIEGO

Stary zegar w stołowym pokoju zamyslił się głęboko. Spało tam już wszystko: i długi, ciemną serwetą nakryty stół, i krzesła rozstawione dokoła, i rozłożysty, szeroki kredens. Ciche, ledwie dosłyszalne miarowe kroki zegara nie tylko nie przerywały ciszy, ale czyniły ją jeszcze głębszą, jeszcze silniejszą. Przez szpary w okiennicach sączyły się strugi bladego światła księżycowego kreśląc na meblach i na podłodze fantastyczne linie i zygzaki. Była głęboka pora nocna — godzina, o której na niebie rozmawiają już tylko gwiazdy, na ziemi — tylko zegary.

Zegar błąkał się myślą po dalekich krainach przeszłości. Stary był, dużo przeżył, dużo widział, jeszcze więcej słyszał, bo się wszyscy w jego kąt schodzili zawsze na gawędę. Pokolenia rodziły się przy nim i wymierały, a on, niestrudzony pielgrzym wieczności, kręcił pracowicie swe kółka nawijając na nie czas niczem nitkę na szpulkę.

Nagle zadrżał stary, zacny zegar. Szpulka? Wszak szpulkę można kręcić w obie strony, nawijać nitkę albo ją odwijać. Przyszło mu na myśl pytanie,

<sup>2)</sup> Brakatinga — nazwa drzewa, bardzo pospolitego w Paranie.

<sup>3)</sup> Herval — las z drzewkami hery, z której liści naparza się napój: herwa mate (parańska herbata).



co stałoby się, gdyby tak spróbować pokręcić wskazówkami w odwrotnym kierunku. Czy ten czas, co go sobie zegar namotał na kółka, zaczęły się odwijać z powrotem odsłaniając coraz to dalsze, coraz to bardziej zagubione w pamięci minione chwile, godziny, lata...

Myśl ta oszołomiła go do tego stop-

<sup>4)</sup> „Rosa” — tak nazywa się w Paranie obszar lasu spalonego pod uprawę.

<sup>5)</sup> Fiżon — czarna fasola parańska, podstawowe pożywienie parańczyków, jak u nas ziemniaki.



nia, że na chwilę oniemiał, ogłuchł i zamilkł.

Kiedy wrócił do siebie, ogarnęła go gorączka spróbowania natychmiast tej osobliwej podróży w przeszłość. Zatrzymał wahadło i w głębokiej ciszy, jaka zaległa salę, rozległo się przyciszone warczenie obracającego się szybko wstecz mechanizmu zegarowego.

Pierwszy skok był niewielki — zegar nie miał jeszcze wprawy — wskazówki stanęły cofnawszy się o kilka godzin. Zegar mniemał, że śni. Lampa się pali. Cała rodzina siedzi przy kolacji. Po raz drugi widzi zegar scenę, którą już widział dziś, czy raczej wczoraj, słyszy rozmowę, która toczyła się niedawno w tym samym pokoju, może powiedzieć, co będzie się tam działo za chwilę. Oto już po kolacji. Starsza pani robi robótkę, zaraz upuści na ziemię nożyczki. Matka skarci małego Kazia, że nie podniósł ich babci. Kazio tłumaczy się, że nie słyszał. Jakoż ledwie to zegar zdążył pomyśleć, rozlega się brzęk nożyczek i głos matki:

— Mamusiu, czemuż się mama schyla? Kaziu, nie widzisz, że babci nożyczki upadły? Trzeba uważać. Taki duży chłopiec z ciebie, a taki gapa.

— Nie słyszałem, mamusienko — tłumaczy się Kazio.

Zegar osłupiał.

Z tej pierwszej, kilkugodzinnej podróży w czasie wrócił roztrzęsiony i odurzony i długo, długo w noc uspokoić się nie mógł. Miarowy zazwyczaj jego chód był tej nocy szczególnie nierów-

ny, słabł i potężniał, wahadło rzucało w mroku awą wypolerowaną tarczą niesamowite blaski, sprężyna pojękiwała z cicha, mechanizm zgrzytał poszeptując swój wiekuiasty pacierz: Tak-tak, tak-tak...

Z niecierpliwością czekał drugiej nocy. W dzień podróżować było niepodobna, bo ludzie, ach ci ludzie! gotowi by pomyśleć, że zegar się popsuł, i jeszcze, broń Boże, zegarmistrza sprowadzić. Tego by tylko brakowało. Trzeba czekać. Ale do nocy godzin jeszcze wiele, a każda godzina taka długa. Sam zegar teraz na własnej skórze doświadczył, jak to miło, gdy się czas dłuży! Słyszał, jak o tem ludzie nieraz mówili, i nie mógł tego zrozumieć. Teraz rozumie.

Ledwie się za ostatnim z domowników drzwi zamknęły, zegar wybrał się w podróż. Sprawniej mu to już szło niż zeszłej nocy, a po jakimś czasie tak się wprawił, że w ciągu kilku minut o dziesiątki lat się wracał. Wirowało mu wtedy wszystko w głowie, chwiało się i trzeszczało, wysechł w tych wycieczkach i szerniał, ale podróżował zapamiętałe noc w noc.

Pewnej nocy zawędrował aż do pracowni, w której się urodził.

Pójdźmy i my za nim.

Kto chce dowiedzieć się o dawnym życiu i tajemnicy królewskiego zegara, niech przeczyta książkę Kazimierza Kornańskiego „Tajemnica zegara królewskiego” (wyd. „Książnicy-Atlas”).

GODIEC



416

KROLEWSKI  
Książnica Atlas

Straznica



Książnica-Atlas  
WŁÓDZIMIERZ MARJANA



# KSIĄŻKI DZIECI

## KSIAZKI:

Do was idziemy, dzieci;  
powiemy wam nowin wiele,  
pogwarzymy sobie społem  
jak przyjaciel z przyjacielem.

## KSIAZKA GEOGRAFICZNA:

Pójdziemy w dalekie światy,  
by dziwy natury oglądać —  
— opowiem wam dziwne historie  
o wielkich morzach i lądach.  
Zagłębcie się w moje karty,  
chłopcy i dziewczęta też,  
zwydrujemy i poznamy razem  
świat cały wzdłuż i wzezrz.

## KSIAZKA PRZYRODNICZA:

O mnie również dzieci  
powinny przy tym pamiętać,  
gdyż mogę powiedzieć wiele  
o ptakach i zwierzętach.

## KSIAZKA HISTORYCZNA:

A moja pożyczka kartka  
w gawędzie cichej ci wyzna,

jak to wśród walki i pracy  
do sławy szła twoja Ojczyzna.  
Zjawia się dawni rycerze  
i zagrzmia zwycięskie fanfary,  
ujrzesz wśród blasków chwały  
łaniące ojczytę sztandary.  
O wielkich królach i wodzach  
każda ma strona ci powie, —  
zrozumiesz, że historia kraju  
to najpiękniejsza opowieść.

## WSZYSTKIE KSIAZKI:

Bierzcie nas z sobą, dzieci,  
czytajcie w domu i szkole,  
bo w naszych kartach się zamknął  
dorobek ludzkich pokoleń.

## DZIECI:

Cieszymy się wszyscy bardzo,  
gdy do nas przybywacie —  
wie nawet najmniejsze dziecko,  
że książka to wielki przyjaciel.

*St. Aleksandrzak*

## NA BIAŁEJ GRANI

Szczyt Kasprowego zaroił się zawodnikami. Pierwsze numery wypuszczono punktualnie o 12-ej.

Z góry widać było doskonale całą trasę wyznaczoną z dwóch stron chorażewkami.

Olbrzymi stok, niby potężna muszla, opadał w dół szerokim półkolem. W tę białą otchłań spadali co pół minuty z szaloną szybkością zawodnicy, skuleni nad deskami. Błyskawiczne tempo zjazdu, poganiające ich sekundy wywołały przyjemnie podniecający nerwy nastrój wśród tych, którzy oczekiwali z niecierpliwością swojej kolejki. Tańczyli w miejscu na nartach jak rasowe konie gotowe do szalonego pędu z wiatrem w zawody.

Odrywają się od szczytu numery 30, 31, 32. Maleją w oczach, zmieniają się w drobne punkty, pędzące w dół, szybko, szybko, coraz prędzej!

W kotle falują okrzyki mrowiących się tłumów. Udany zjazd, większy fragment trasy; wzięty w szalonym tempie bez wywrotki, witany jest radośną wrzawą. Każdy ze zjeżdżających ma swoich sympatyków, poganiających go, nawołujących do pośpiechu.

Strome zboczce faluje pióropuszcami śniegu tryskającego spod nart. Mieszają się białe fontanny, rozciągają w smugi i opadają, aby za chwilę wzbić się znowu w powietrze.

Ze startu ruszył Kazio Obtulowicz. Pozostali patrzyli na zegarki i stopery



śledząc z zapartym oddechem każdy jego zwrot i gwałtowny skręt między bramkami. To najgroźniejszy rywal! Wszystkie oczy utkwione w jego czerwono-białej sylwetce. Dotychczas najlepszy czas zjazdu wynosił 2 minuty 19 sekund. Kazio ma już tylko dwieście metrów do półmetka, a stopery wykazują 2 minuty 3 sekundy.

W grupie zawodników ktoś głośno liczy:

— Raz, dwa, trzy... — gdy padło — osiem — minął metę.

Dwie minuty i jedenaście sekund!

— Wyżyłował! — krzyczy jakiś głos, lecz uwaga wszystkich skupia się na Ptasiu, wyjeżdżającym ze startu.

Śmiga w dół lekko biorąc wiraże. Jedzie świetnie, lecz może trochę za ostrożnie na zakrętach. Traci przez to ułamki sekund. Już wiadomo, że nie poprawi czasu tamtego. Minął metę!

— O sześć sekund gorazy! — obliczono już tymczasem na szczycie.

Przyszła wreszcie kolej na Józka Obtułowicza.

— Drugi Obtułowicz musi poprawić czas pierwszego! — krzyczą za nim przy odjeździe. Nagle w połowie stoku, przy gwałtownej, ostrej christianii pęka mu ramię przy wiązaniu i Józek wylatuje w powietrze jak wystrzelony pocisk! Wywinął kilka kozłów, jedna narta z furkotem oderwała się od buta i pognąła w dół.

Na półmetku głośne, splątane okrzyki.

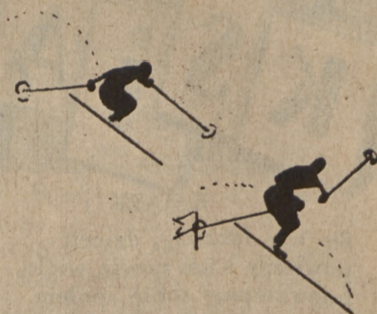
— Józiu, Józiu! — woła Hanka zalamując ręce z rozpaczy.

On tymczasem wstaje cały ubielony i zdjawszy drugą nartę zaczyna schodzić na piechotę. Nikt nie zauważył, że opaloną twarz Gieni Olszewskiej oblał w tym momencie gwałtowny, gorący rumieniec...

Lecz jedzie już Włodek Naczko! Kręci wspaniale, skulony nad deskami, gna z szaloną szybkością. Odpadają krzywizny jedna za drugą, przytrzymuje ręką czapkę, którą pęd chce mu zerwać z głowy, i wiruje między bramkami w spienionych tumanach!

Dwie minuty osiemnaście sekund!

Trzeci czas dotychczas.



Za metą czekał już na niego Józek z Hanką.

— Co ci się stało? — rzucił Włodek zdyszany krótkie pytanie odpinając narty.

— Ktoś przeciął mi ramię — rzekł Józek z ponurą miną.

— Co!? — i Włodek zaniemówił na chwilę.

Wiadomość ta wyprowadziła go zupełnie z równowagi. Kręcił się w kółko wymachując pięściami. Józek i Hanka musieli go uspakajać, gdyż chciał od razu iść do kierownictwa zawodów i zrobić piekielną awanturę.

Kazio tymczasem z triumfalną miną zbierał gratulacje od znajomych.

Wśród ogólnego podniecenia zaczął się drugi, decydujący etap biegu. Start odbywał się teraz według innych zasad.

Pierwszy wychodził z mety zawodnik, który na poprzednim etapie uzyskał najlepszy czas. Za nim ci, którzy mieli kolejno najlepsze wyniki.

Drugi odcinek był trudniejszy, prowadzony był bowiem między kosów-



kami i kończył się stromym, wąskim żlebem.

Cała publiczność zjechała na dolną metę przy szafasach.

Zaczęła się decydująca walka.

Obtułowicz wypadł pierwszy ze startu, w sześć sekund po nim Ptaś, w sekundę potem Naczko.

Kazio umykał z piekielną szybkością jak zajęc goniony przez sforę psów.

Kto pierwszy dopadnie do mety, ten zwycięży!

Gdy na stoku ukazały się trzy sylwetki, tłumy zafalowały jak pod uderzeniem potężnego podmuchu, zadrgało mrowie głów. Tamci spadają w dół jak trzy kule. Nieprzytomni od pędu, na pół oślepieni łzami wypływającymi na rzęsy, wirują wśród bramek zdyszczani. Ci dwaj w górze odrobili już na tym pierwszym połowę odległości!

Obtułowicz słyszy chrobotanie desek za sobą i zacisnąwszy wargi celuje na wewnętrzną stronę bramki przy zakręcie, lecz nogi mdlejące z wysiłku nie wytrzymują ostrego skrętu i wali się na śnieg.

Tłum wrzasnął na ten widok:

— Tempo, tempo! — krzyczą zemojonowani na dole.

Zrywa się i gna dalej, lecz Ptaś już jest za nim o parę metrów. Teraz padają razem na następny zakręcie.

— A — aaaa! — wrywa się przeciągły okrzyk z piersi tłumu.

Dopada ich Naczko, lecz dwaj pierwsi już się zerwali. Ptaś w żlebie kołując między chorągiewkami dotyka prawie ramieniem Obtułowicza, zbiera się w sobie i na przedostatnim zakręcie silnym przeskokiem wyprzedza go o parę metrów. Obtułowicz zawadził kijkiem o chorągiewkę i przysiadł. Mija go Naczko!

— Ptaś, tempo, Ptaś tempo! — krzyczą koledzy i znajomi.

— Władek! Władek! — poganiają znów inni Naczkę.

Jeszcze sto metrów! Wszyscy teraz

szusują wprost do mety, przygięci nad nartami.

Ptaś ogląda się. O dziesięć metrów za sobą widzi uśmiechniętego Naczkę, dalej w głębi ściągniętą dziwnym skurczem półprzytomną twarz Obtułowicza.

Jeszcze dwadzieścia metrów, dziesięć, pięć i w tej kolejności wpadają wśród nieopisanej wrzawy na metę!

Przelecieli siłą rozpędu jeszcze kilkadziesiąt metrów dalej między szpalerem stłoczonych widzów i jeden po drugim zwalili się na śnieg.

Cisza.

Ptaś podniósł się pierwszy mrugając zażawionymi oczami. Usta jego rozchylił lekki uśmiech. Chwiejąc się na zmęczonych nogach podjechał do niego Naczko. Z boku przedostała się przez tłum Hanka, a za nią Józek.

— Ej, Kuba, kiebyś wiedział, kielo cie rada widzom, za to ześ piersy! — zawołała uradowanym głosem Hanka.

— A Władka? — spytał Józek.

— Władka tys, jednakowo obydwóch.

— No to fajnie — mruknął Ptaś.

Poszli do bufetu i usiedli w czwórce za stołem, przy szklankach gorącej, dymiącej przyjemnie herbaty.

Przed nimi opalizowały w słońcu białe stoki górskie.

Patrzyli na nie z zabawnym, dziwnym niedowierzaniem, że jeszcze przed chwilą sfruwali po ich śliskich, śnieżnych przestrzeniach w oszałamiającym pędzie, a teraz oto siedzą u ich stóp, jakby nie ruszali się zupełnie z miejsca. Hanka wodziła w milczeniu wzrokiem po błyszczących liniach grani i uczucie żalu ścisnęło ją za serce.

— Skoda, że to już koniec tej gonitwy, tak było wesoło — rzekła z cichym westchnieniem.

Ptaś machnął ręką niedbałym ruchem.

Jest to wyjątek z książki „Na białej grani”, napisanej przez J. M. i H. Ry-tardów, a wydanej przez „Bibliotekę Polską”.



# SKARB WYSP ANDAMAŃSKICH

(Wyj. z książki F. A. Ossendowskiego)

Dżair zatrzymał się, aby zasnurować trzewik, Władek zaś z Edytą rozglądając się wokoło poszli dalej. Chłopiec ujrawszy krzak, opleciony białymi i fioletowymi storczykami, pobiegł, aby zerwać je dla towarzyszki. W tej samej chwili posłyszał poza sobą głośny krzyk Edyty. Obejrzał się i ujrzał ją i Dżaira, stojących nieruchomo. Na twarzach ich malowało się przerażenie. Władek nie spostrzegł prócz stosu kamieni przed nimi i kępy wysokiej trawy. Nie namyślając się jednak wrócił do nich co tchu, lecz wtem dobiegł go drżący głos małego Minkopi:

— Sahibie, ostrożnie!... *Tszinta-negu!*

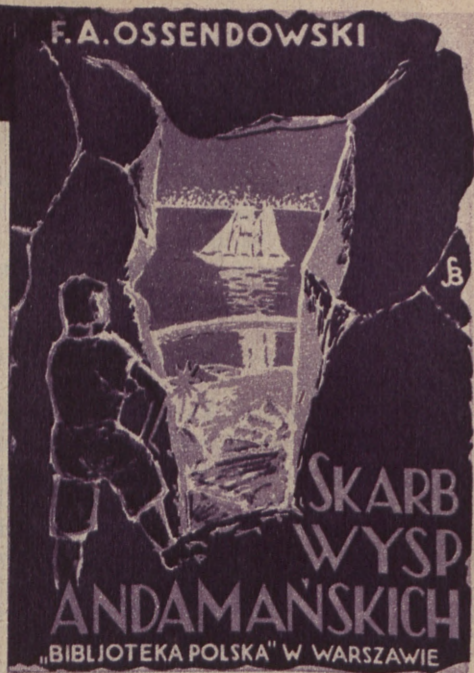
Władek posłyszawszy to zrozumiał grożące przyjaciółom niebezpieczeństwo. Ież to bowiem razy czytał w dziennikach i słyszał opowiadania o niebezpiecznych dla ludzi spotkaniach z najstraszniejszą żmiją indyjską — okularnikiem. Tysiące ludzi i jeszcze więcej zwierząt domowych i drobiu ginie od jego jadowitych kłów.

— *Tszinta-negu!* — miotała się myśl w strwożonej głowie Władka. — Co począć?

Podchodził ostrożnie, wpatrzony w gęstwinę traw i drobnych krzaczków tamaryndowych, jednocześnie zaś szukał jakiejś broni — kija lub chociażby mocnej gałęzi. Teraz ujrzał przed sobą wyraźnie stos prawie białych kamieni.

Z trudem wypatrzył wśród nich okularnika.

Żmija przygotowała się już do napadu. Jaeno-żółta, okryta ciemniejszymi centkami i kilku brunatnymi pręgami, zlewała się ze zwaliskiem kamieni i pożółkłymi chwastami. Płaską głowę trzymała zupełnie poziomo, kark jej rozszerzał się i rozdymał przypominając kształtem kołnierz, za którym widniała oznaka tej żmii — „okulary”, — dwie ciemne plamy w czarnej oprawie z odbiegającymi na grzbiet i połączonymi ze sobą paskami. Okularnik co chwila



otwierał paszczę ukazując długie, ostre kły i śmigając językiem. Nieruchomym, wściekłym wzrokiem wpatrywał się w nogi ludzi i — sprężony cały, a nieruchomy w górnej części ciała — podnosił się coraz wyżej. Jeszcze chwila i wyrzuciwszy naprzód zwinne ciało dosięgnąłby swej ofiary. Edyta stała jak skamieniała, a obok niej wpatrzony w żmiję — Dżair szepczał:

— Nie ruszać się! Nie ruszać się!

Władek spostrzegł nagle leżący na kamieniach suchy liść palmowy. Błyskawicznym ruchem porwał go i przykrył nim okularnika wołając:

— Uciekajcie!...

Żmija, napadnięta znienacka, ugryzła suche drewno, wyslizgnęła się i w jednej chwili podniosła jadowitą głowę, lecz Władek nakrył ją powtórnie i przycisnął do ziemi. W rękę pozostał mu trzon liścia. Wtedy chłopak schylił się i schwywszy dwa kamienie cisnął je w żmiję, szamocącą się na ziemi. Z przetrąconym grzbietem zwinęła się usiłując podnieść głowę. Władek dobił ją.

— Zwycięstwo! — krzyknął radośnie. — Chodźcie tu, nic już wam nie zrobi!





**CZY ZNAĆIE TE KSIĄŻKI?**

## A M Y ?

Tak już jest, że wszystko dla chłopców. O wojnie — dla chłopców, o podróży — dla chłopców, przygody — dla chłopców! A my — nie!

Jak bohater, to już na pewno mężczyzna, a bohaterowie — prawie zawsze harcerze albo lotnicy. Jakby kobiety wcale nie jeździły samolotami albo nie należały do drużyn. Nawet małe kobiety.

A czy my nie pracujemy, nie walczymy, nie uczymy się? Czy tylko panowie piszą książki? Nie. Kobiety też piszą książki — i to dla nas. Proszę bardzo.

W „Wąskich ścieżkach”, które napisała *Nadzieja Drucka*, opowiedziane są dzieje Juli. Niech się wobec nich achem niejedyn *Robinson*. A choćby i nie *Robinson*, który jest atryznie miły. Czy umiałby zostać artystką? Czy umiałby



grać na scenie i uczyć się roli? Na pewno nie.

A my do przedstawień szkolnych jesteśmy potrzebne. I wszędzie. I w prawdziwym teatrze też.

Jest taka książka „*Krysia i karabin*”. Napisała ją pani Jadwiga Gorzycka.

Jest to książka o walkach niepodległościowych. Jeśli ją chłopcy przeczytają, to już nie trzeba będzie powtarzać im, że wóród „orląt lwowskich” i dziewcząt nie brakło. A właśnie, że nie brakło. I książek o dziewczętach nie będzie w „*Naszej Księgarni*” brakować. Nawet dla trochę młodszych jest powieść o lalce: „*Przygody galgankowej Balbisi*” pani *Janiny Broniewskiej*.

A ostatnia książka *Kornela Maku-*

*szyńskiego* (nie *Kornelii Makuszyńskiej*, tylko *Kornela Makuszyńskiego*) nazywa się „*Awantura o Basię*”. I jest napisana o Basi. A jeżeli nie tylko o Basi, to w każdym razie *Basia* jest tam prawdziwą bohaterką i ma przygody, i zwycięża, i jest dzielna. I jest sierotą. Prawdziwą sierotą, a nie tą z bajki „*O Krasnoludkach i sierotce Marysi*”, choć piękniejszej bajki nie ma na całym świecie. Nie potrzeba nawet mówić, kto tę bajkę napisał. Wielka poetka.

I wszystko jest dobrze. My też mamy swoje książki. Ale nie jesteśmy skąpe i chętnie pozwolimy je czytać chłopcom. Same też będziemy czytać książki o chłopcach — i co nam kto zrobi?

*Ewa Korzeniewska*

## S P O Ł E M

Głębokie morze, głębokie,  
ogromne jak cały świat.  
Na morzu fale wysokie  
i ostry wiatr.  
Okręty na morzach sinych  
fale i wichry chłoszczą.  
Płyną statki do Gdyni  
drogą najprostszą.  
Wiozą towary mnogie,  
jadą do portu z daleka.  
Tutaj po trudach drogi  
wytchnienie czeka.

Uczył baran barana  
od wieczora do rana.  
Uczył, uczył, kiwał łbem,  
wołał głośno: be, be, bee!  
I o wszystkich mądrych rzeczach  
jeden beczał, drugi beczał.  
Do beczenia przez rok cały  
barany się przykładały:  
nie nie umiał przez rok długi  
ani jeden,  
ani drugi.

Jak wam się podobają te dwa wiersze? Ładne są i wesołe — prawda? Tylko dziwny jest tytuł nad nimi: „*Spółem!*”.

Ale nie będzie on dziwić nikogo, kto przeczyta nie tylko te dwa wiersze, lecz

i pozostałe czterdzieści wierszy ze spółdzielczej książki *Edwarda Szymańskiego* „*A-B-C*”.

Pocóż nam ABC? — spytacie. Przecież umiemy już czytać od dobrych kilku lat!





Przede wszystkim nie jest to ABC dla małych bąków z I-ej klasy. To ABC spółdzielcze. A o spółdzielczości wielu z was nie umie jeszcze za dużo. Miła będzie z tej książki nauka. Bo i wiersze piękne, i rysunki doskonale — i łatwo dowiedzie się, jak ważnym hasłem jest zawołanie spółdzielcze: „Społem!”.

O pracy w gromadzie, o sile wspólnych poczynań opowie wam inna książka spółdzielcza: „*Za jednego gromada*”, napisana przez panią *W. Kiślańską*. Wtedy już na pewno sami zainteresujecie się historią spółdzielczości. Sami poprosicie bibliotekę szkolną o zakupienie

książki *Izy Nicholson*, zatytułowanej „*Promień słońca*”. Jest to opowieść o bohaterkach tkaczach z angielskiego miasteczka Roczdel, gdzie powstała pierwsza na świecie spółdzielnia spożywców.

Na czym polegało ich bohaterstwo nie opowiem wam, bo musiałbym całą książkę przepisać. A przepisać — to większa praca niż przeczytać. Ze przeczytanie będzie przyjemną pracą — przekonacie się sami. Bo nie tylko dla pożytku, ale i dla przyjemności waszej wydał te trzy książki Związek Spółdzielni Spożywców R. P. „Społem” w Warszawie.

*Szymon Wolski*

## TELEWIZJA

Chyba znacie doktora Feliksa Burdeckiego, który często pisuje w „Płomyku”? Otóż niedawno ukazała się książka jego pod tytułem „*Telewizja czyli jak człowiek nauczył się widzieć na odległość*”. W książce tej autor opisuje, jak ludzie nauczyli się przesyłać obrazy na odległość. To chyba niemożliwe? — powie niejeden z Was, ale przecież dźwięki lub głosy słyszycie też przy głośniku radiowym, a może przed kilkudziesięciu laty niejeden mały chłopiec również nie wierzył, że można będzie słyszeć głos ludzki z odległości bez drutów. A dzisiaj wszyscy słuchacze radia często nawet z dalekich krajów. Otóż w książce dra Burdeckiego opisane jest, jak uczeni wynaleźli aparat do przesyłania obrazów, czyli telewizor. Aparat ten bardzo prędko rozkłada obraz na olbrzymią ilość poszczególnych plam świetlnych i przesyła je na odległość. Inny aparat odbiorczy zbiera te plamy świetlne i powstaje obraz. Oczywiście wszystko to trwa zaledwie kilka minut.



## ZAJMUJĄCE CZYTANKI

Wydawnictwo M. Arcta wydało wiele ciekawych, małych książeczek pod powyższym tytułem. Warto przeczytać ciekawe opowiadanie *Feliksa Burdeckiego*, o którego książce już czytaliście.

Opowiadanie to ma tytuł „*Zbawczy telewizor*” i opisuje przygody pewnego chłopca w r. 1939 (tak, w 1939 roku).

Pani *Zofia Topińska* w swej opowieści p. t. „*Pierwsze skrzydła*” opo-



wiada o Łukaszu Piotrowskim, profesorze uniwersytetu krakowskiego, który próbował w r. 1643 wynaleźć maszynę do fruwania.

Pan *Władysław Juszkiewicz* napisał opowiadanie „*Lu*” z życia Chińczyków.

*J. Bożewski* opisał wylew Wisły w książeczce pod tytułem „*Walka z żywiołem*”.

Fantastyczne opowiadanie o komunikacji międzyplanetarnej napisał *J. Mieczysław Krzephowski* w książeczce p. t. „*40.000 kilometrów nad ziemią*”.

Opowieść z dawnych dziejów i przygód rycerstwa napisał *Jerzy Mariusz Taylor* w książeczce p. t. „*Kamienne róże*”. O ciekawych przygodach chłopców w podziemiach napisał ten sam autor *J. M. Taylor* w książeczce pod tytułem „*Czarny szyb znowu działa*”.

Znany lotnik polski kapitan *Janusz Meissner* opisał przygody lotnika Polaka w Afryce w książeczce „*Zwycięstwo*”.

Ciekawe opowiadanie z życia emigrantów polskich w Ameryce, oparte na

rzeczywistych faktach napisała *Stefania Kossuthówna* w książeczce p. t. „*Do starego kraju*”.

Ciekawe, fantastyczne opowiadanie „*Planetoida 2100*” napisała *Józefa Maria Burdecka*.

Opowiadanie z życia dzieci w Stanach Zjednoczonych *A. P.* napisała *St. Kossuthówna* w książeczce p. t. „*Pod gwiazdzistym sztandarem*”.

Opowieść o młodych malarzach napisała *Maria Gerson-Dąbrowska* w książeczce p. t. „*Rogata dusza*”.

Powiastkę o wycieczkach kajakowych na rzekach polskich napisał *Adam Darkowski* w książeczce p. t. „*Wielki sływ*”.

O życiu chłopca polskiego we Francji napisała *Lili Hanusz* książeczkę p. t. „*Wychowanek Francji*”.

Wreszcie ciekawą opowieść z życia dziewcząt napisała *Z. Bardówna* w książeczce p. t. „*Wielka gra*”.

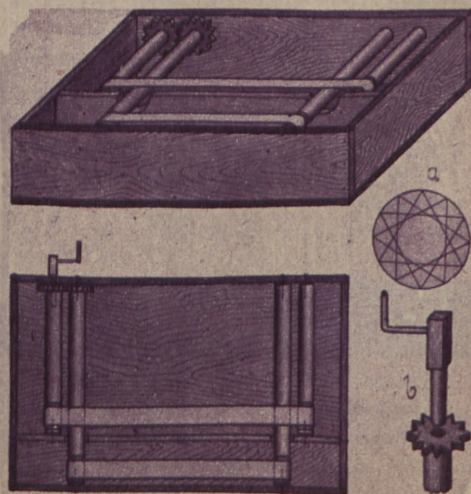
Warto przeczytać te książeczki.



### SZOPKA

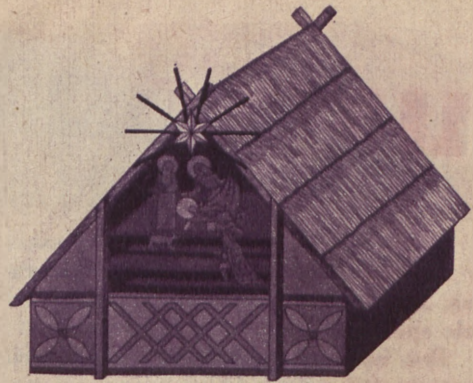
Podajemy Wam, kochani Czytelnicy, opis wykonania szopki wcześniej, ażebyście ją zdążyli wykonać na czas. Szopka będzie z ruchomymi figurami i co ciekawe, jedne figury będą się posuwać w jedną stronę a inne w przeciwną, tak jak wskazują strzałki. Budowa szopki jest prosta. Trzeba się tylko postarać o małą skrzynkę i wystrugać beleczyki o przekroju 10 mm × 10 mm. Konstrukcja łatwa, nie trzeba zbyt długo tłumaczyć. Omówimy sam „mechanizm”. Trzeba wyciąć cztery wałki (najlepiej ze starej miotły), dwa wałki krótsze, a dwa dłuższe. Wewnątrz skrzynki jest przegródka. Do dwóch wałków przykleić i przybić kółka zębate. Jak je zrobić? Na deseczce 8 mm grubości wykreślić koło i podzielić okrąg na 12 czę-

ści (połową promienia), wykreślić gwiazdę jak na rys. a i wyciąć dokładnie pi-



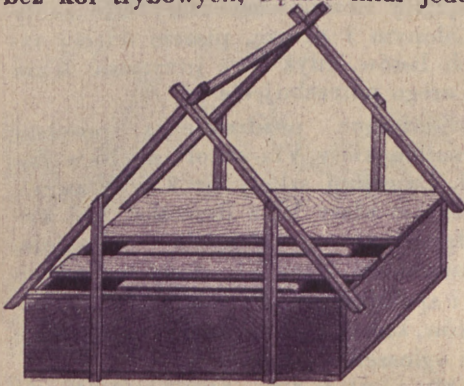


łeczką. Wałki wraz z kołami zębatymi umocować na gwoździach. Tylko na jednym wałku umocujemy korbkę (rys. b). W tym celu najpierw w wałku wywiercimy otwór około 1 cm średnicy. Do otworu normujemy korbkę. Po złożeniu całości wkleimy korbkę wałka już na skrzynce. Na wałkach naszyjemy taśmę płócienną. Ażeby się nie ślizgała oklejmy w tym miejscu paskiem szklanego papieru. Komu za trudno robić „mechanizm” niech wykona tylko dwa wałki bez kół trybowych, będzie miał jeden



pas ruchomy. Szopkę całą okleić kolorowym papierem, ozdobić, a dach pokryć teksturą rolowaną lub słomą.

Dalszy ciąg w następnym numerze.



Piękne wzory ozdób choinkowych znajdują czytelnicy w książeczkach wydanych przez Tow. Wyd. „Bluszczy” a mianowicie: 1) „Wzory ozdób choinkowych” opracowała B. Strasburgerówna; 2) „Zabawki choinkowe” H. Gawrońska i 3) „Ozdoby choinkowe”.



Ano — grudzień! A w grudniu — różnie bywa. „Jak to bywa w grudniu” opowie prof. Jan Rostafiński w środę 9 grudnia o g. 11 m. 30. A potem już każdy będzie wiedział. Dobrze jest też wiedzieć o tym, że tego samego dnia o g. 16 m. 10 zada Wam Franciszek L. Nowak z Krakowa „Zagadkę historyczną”.

W czwartek rano o g. 11 m. 30 — radiowy koncert szkolny. Słuchajcie, moi Drodzy, tych koncertów, bo muzyka im trudniejsza, tym głębszą i cichszą sprawia radość. A muzykę nie wystarczy kochać. Trzeba nauczyć się ją odczuwać. O g. 16 m. 20 Waław Frenkiel pogawędzi sobie z Wami, bo to będzie „Chwilka pytań”.

I już piątek, 11 grudnia. O g. 11 m. 30 — słuchowisko Jana Waśniew-

skiego „Książki mówią”. Na pewno każka ma swój własny głos.

W sobotę rano o g. 11 m. 30 „Śpiewamy piosenki”, a o g. 14 m. 30 też się cieszymy, bo będzie „Wesoła audycja” ze Lwowa.

W niedzielę odpoczywamy po śmiechu i uciechu, a w poniedziałek 14 grudnia o g. 11 m. 30 prof. Jan Jaworski w cyklu pogadań „Przez morza i lądy” opowie Wam o „Życiu Chińczyków”. Po południu o g. 15 m. 55 Wanda Tatarkiewicz i Henryk Ładosz znów przygotowują „Wszystkiego po trochu”.

Śliczna audycja dla młodszych dzieci będzie we wtorek o g. 11 m. 30 „Jak bury kotek uśpił małego Jezuska” Ewy Zarembiny. I pewno jeszcze jakaś baśń czy opowiadanie choinkowe.



# LISTY OD REDAKCJI

Szczerze raduję się, gdy liczne szkoły i organizacje piszą mi, jak sobie radzą, aby zebrać potrzebne fundusze na cele społeczne.

Ileż uciechy z przedstawień, loterii fantowych i zabaw, które przynoszą pożądany dochód!

Młodzi obywatele często dzielą się ze mną swoją radością, a przy tym zapytują: — Czy zadowolony jesteś z nas, drogi przyjacielu, że jak możemy drugim pomagamy?

O tak! szczególnie kiedy znajdują taką wzmiankę: — My nie dlatego piszemy, aby chwalić się przed Tobą naszym czynem, lecz chcemy uciechy Ci nim serdecznie.

Dostaję też i inne zawiadomienia, na przykład:

Członkowie kół zebrali pieniądze lub książki dla dzieci na Kresach i proszą o ogłoszenie w Gazecie spełnionego przez nich czynu.

Czytam i zastanawiam się, co mają na celu ofiarodawcy pragnąc zamieszczenia tej wzmianki w piśmie? Czy w ten sposób starają się zachęcić do ofiarności szerszy ogół czytelników, czy chcą tylko reklamy dla swych uczynków?

Myślę, iż najważniejszą rzeczą jest udzielenie pomocy potrzebującym i pewien jestem, że Wy to samo myślicie.

Więc gdy piszecie ogłoszenie do druku, pomyślcie przedtem, dlaczego „bardzo zależy Wam”, by znalazło się ono w piśmie.

Wiele przyjaznych słów przyniosły mi listy Czytelników z Łomaz i bliżej zapoznali z ich zajęciami w szkole. Rad

jestem z założonej drużyny harcerskiej i całej Gromadzie zachowej życząc powodzenia w pracy.

Za ciekawe sprawozdanie na temat jak odbywa się „godzina Płomyka” dziękuję Uczennicom klasy VI szkoły w Słonym i proszę, piszcie więcej takich listów, gdyż chcę przynosić Wam to, czego potrzebujecie.

Serdeczne pozdrowienia posyłam Uczniom klasy VIa szkoły nr 16 w Łodzi, Dzieciom szkoły nr 2 w Wawrze, Uczniom klasy VI z Brzostka, Ani Kłodziejskiej z Brześcia n/Bugiem, Uczennicom klasy VI szkoły w Podświli i spełniam prośby wszystkich czytelników, którzy prosili mnie o zamieszczenie ogłoszeń w piśmie.

Klasy V i VI szkoły w Podświli (poczta w miejscu), woj. wileńskie pragną wymienić listy z równorzędnymi klasami w Warszawie i proszą o adresy, a Klasa VII szkoły powz. nr 9 w Częstochowie z równorzędnymi klasami w Warszawie i Wilnie.

Uczennice i Uczniowie klas V i VI szkoły im. Marszałka Piłsudskiego w Koziegłowach, gm. Kleczew, woj. łódzkie chętnie będą korespondować z rówieśnikami na Śląsku.

Klasa VIa szkoły powz. nr 12 im. E. Orzeszkowej w Częstochowie nawiąże korespondencję z klasą VI szkoły powz. wyznania mojżeszowego w Warszawie.

Czytelnik Płomyka T. Obrusiewicz prosi o adresy chłopców z Pomorza, Śląska i Małopolski celem wymiany listów i znaczków pocztowych. Adres jego: Błonie, ul. Rokicka 7.

## TEATR DLA DZIECI W OPERZE

Teatr Wielki wystawi dla dzieci sztuki: „U króla gór”, „Żywa książeczka” i „Tańcowała ryba z rakiem”. Gawędzić

będzie. H. Ładosz. Te ciekawe przedstawienia będą dawane tylko do świąt Bożego Narodzenia.



# NIE każdy SNADNIE to ODGADNIE

## REBUS 1



## REBUS 2



## SZARADA

Pierwsza w literach czterech  
zawiera liter szereg.  
Ze wszystkich książek  
na świecie całym  
zmieści litery  
ten wyraz mały.  
Druga — powierzchni miara  
stokroć mniejsza od hektara.  
Trzecią znajdziecie  
na samym końcu w alfabecie.  
Całość człowieka oznacza.  
Piękna jest jego praca.

On dla pisarza  
jest towarzyszem,  
bo on książki składa,  
choć ich nie pisze.

## ZAGADKA 1

Cóż to za teka,  
radość człowieka,  
że nieraz pomieści  
kilkaset powieści?

## ZAGADKA 2

Jesteśmy do pomocy,  
ułatwiamy czytanie.  
Dziwne oczy, szklane oczy,  
i drogie, i tanie.

## ZAGADKA 3

Ja jestem światła promyk  
dla ludzi niewidomych.  
I dziwnie — patrzcie sami —  
czytaję mnie rękami.

## ROZWIĄZANIA Z NR 14

Rebus 1—Stany Zjednoczone, 2—  
podlaska ziemia piaszczysta. Zagadka  
1—dolary, 2—Kanada. Szarada — Bia-  
łowieża.

## WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)		W prenumeracie pojedynczej:	
mieсяcznie . . . . .	zł. —.80	mieсяcznie . . . . .	zł. 1.10
półrocznie . . . . .	„ 3.75	półrocznie . . . . .	„ 5.—
rocznie . . . . .	„ 7.50	rocznie . . . . .	„ 9.—

## POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

Prenumeratę prosimy nadsyłać blankietem P. K. O. Nr. 435.

W Warszawie prenumeratę przyjmuje filja miejska „Płomyka” przy ul. Świętokrzyskiej 18,  
telef. 5-22-18, od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

W Wilnie prenumeratę przyjmuje filja „Płomyka” przy ul. Wielkiej 40, telef. 21-31,  
od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.  
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

## KOMITET REDAKCYJNY CZASOPISM DZIECIĘCYCH ZWIĄZKU NAUCZ. POLSKIEGO:

W. Burek, I. Huber, M. Kotarbiński, H. Ładosz, S. Machowski, F. A. Ossendowski,  
E. Szymański, A. Swirszczewska, W. Wasilewska, I. Wilska.

Kierownicy artystyczni: E. John, K. Pieniążek.

Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego i Redaktor odpowiedzialny:  
STANISŁAW MACHOWSKI

Druk. Rotograw. Dom Prasy, S. A., Warszawa



